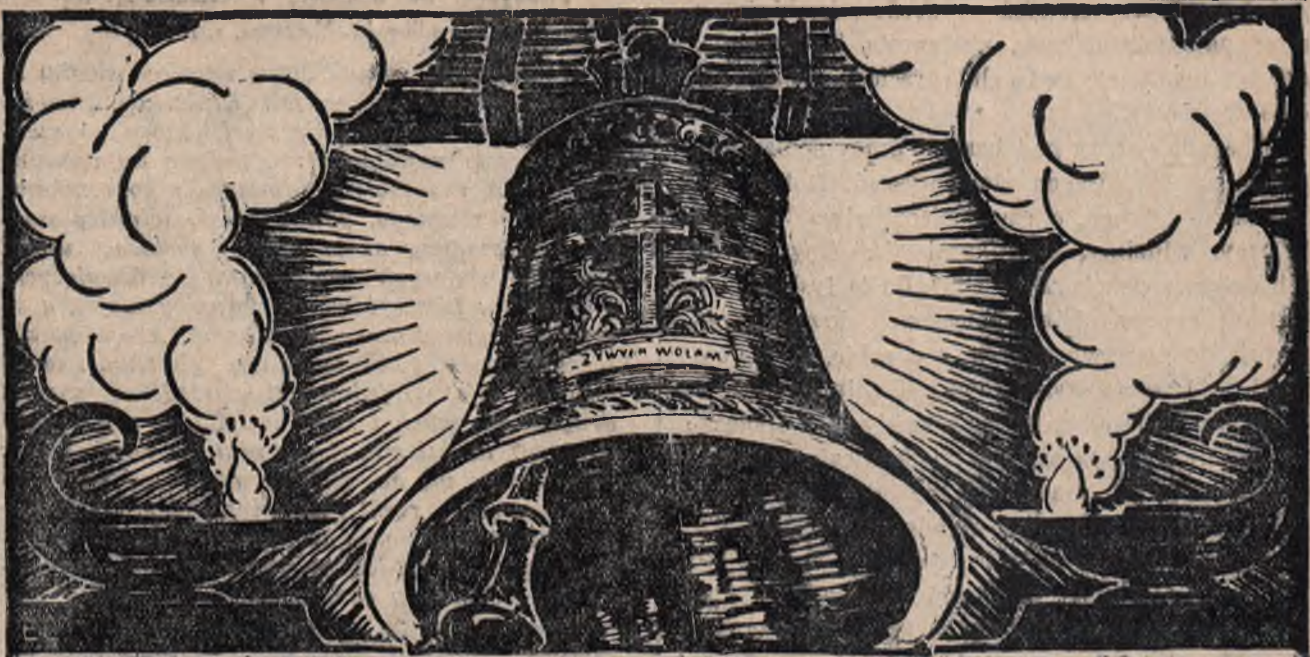
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem, Cena 20 groszy

Nr. 7. Kraków, 13 lutego 1927. Rok III.



DZWON NIEDZIELNY

ILUSTROWANY TYGODNIK KATOLICKI.

Przedpłata wynosi:
Na cały rok 7 zł, na pół roku 4 zł, na kwartał zł 2'20.
Numer pojedynczy 20 groszy.
W Ameryce 2 dolary. — We Francji 30 fr.
W Danji 7 koron.
Każdorazowa zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja:
Kraków, ul. Sienna L. 5.
Nr P. K. O. 404.712. — Nr Telefonu 2820.
Reklamacje niezapieczętowane wolne są od opłaty pocztowej.

Ceny ogłoszeń:
Cała strona 120 zł. — pół strony 60 zł,
ćwierć „ 30 „ — ósemka „ 15 „
Za jednołamowy wiersz mm. 30 groszy w tekście 3 razy drożej. — Nadesłane 50 proc. drożej.

Po raz który?

Po raz który to trzeba powtórzyć? O, jakżeż ta nasza natura zepsuta, że o tej prawdzie, o tym fundamencie szczęścia i dobrobytu nie chce wiedzieć, nie chce pamiętać! A ile się to ludzie namęczą, nawysilają, aby wymyśleć, stworzyć i rozpowszechnić — przepis raju na ziemi! Na ileż to partyj, obozów, armij dzieli się utrapiona ludzkość w poszukiwaniu tego raju? Ile krwi się wylało, ile życia ludzkiego zniszczyło w jego poszukiwaniu i w obronie.

I gdzie ten raj? Może we Francji wielką rewolucją ośmnastego wieku wstrząśniętą? Czy w sąsiedniej Rosji, najnowszemi wynalazkami zbuntowanego przeciw Bogu człowieka zwierza rządzonej? Czy może w Polsce, majowym przewrotem zelektryzowanej? Śmiało można odpowiedzieć: ani tu, ani tam, nigdzie! Okrzykom zwycięstwa wszędzie towarzyszy pomruk, przysięga zemsty zwyciężonych; radość rządzących zagłusza smutek podeptanych, dźwięk śpiewu zabija powszechny prawie lament narzekania. — Zmiana na tem polega, że raz ci, drugi raz zaś tamci śpiewają lub narzekają. Patrząc na te przypływające i odpływające fale życia światowego, śmiać się chce, a historję nazwaćby trzeba raczej komedją! I zawsze tak będzie, dotąd ta smutna komedja grana będzie, dopóki *świat przyrody nie podda się światowi nadprzyrodzonemu.*

Jak to rozumieć? Czyż nie wiecie? Po raz który trzeba to powtórzyć, że *podwaliną, jedynym betonowym fundamentem pod wszelką bu-*

dowę t r w a ł e g o *szczęścia jest człowiek pojedyńczy, ale człowiek — doskonały.* Możemy mieć najlepsze ustawy, znakomitą Konstytucję, ale jak obywatele będą źli, czyściec i piekło będzie w państwie.

Obecnie żyjemy pod hasłem pracy społecznej. Pełno najróżniejszych stowarzyszeń. Robią one nie mało dobrego, a czy społeczeństwo lepsze? Wiemy, widzimy, świadkami jesteśmy coraz większego zepsucia. Dlaczego? Bo te tysiące, czy miljony pracowników społecznych, krzyczą, nawołują do poprawy innych, a o sobie, o swojem uświęceniu nie wszyscy myślą. Tracimy wiarę w ludzi, z podejrzeniem witamy każdy ruch społeczny, bośmy się poparzyli, bo wielka liczba różnych społeczników — pracowała nie dla społeczeństwa, lecz dla własnego brudnego zysku. Tu przyczyna nieufności.

Do najnowszych poczynań społecznych należy Liga katolicka. Patrzą na nią z zaciekawieniem i również — z niedowierzaniem. Czego chce, jaki ma program, co robi? — pytają się. — Po raz który mamy ten program powtórzyć? *Liga katolicka pragnie zrzeszyć w karności te dusze, które chcą odrodzić Ojczyznę przez odrodzenie w Chrystusie samych siebie.* Członek Ligi katolickiej powinien mieć program życia nadprzyrodzony; musi dążyć do świętości, do zabicia w sobie tego świata, do poddania się dobrowolnego w niewolę Chrystusa. Karjerowiczów, ludzi honoru chciwych, poselstwa lub innych godności światowych spragnionych, Liga katolicka nie chce w swych szeregach widzieć. — Nie ma programu materjalnego, bo jest przekonaną, że „to wszystko będzie im dodanem“ za wierną służbę Chrystusowi.

Do takiej organizacji ludzie nie będą się garnąć, bo taki program, nie schlebia ciału i jego namiętnościom. Niech tylko Pan Bóg dopomoże zgrupować w każdej parafji choćby dziesięć gardzących sobą i światłem katolików, przy pomocy łaski Bożej, Liga katolicka wyrwie, wyswobodzi naród polski z obecnej Sodomy i Gomory!

Siebie nawracajmy, własne dusze uświęcajmy, własną pychę zwalczajmy, sami chciejmy, MIEJMY ODWAGĘ BYĆ KATOLIKAMI CZYNU, to zapachem takiego życia przywabimy i resztę do Chrystusa.

— *m* —

Ewangelja na Niedzielę Siedemdziesiętnicę.

według św. Mateusza, r. XX.

Onego czasu: Mówił Jezus uczniom swoim to podobieństwo: Podobne jest Królestwo niebieskie człowiekowi gospodarzowi, który wyszedł bardzo rano najmować robotników do winnicy swojej. A uczyniwszy umowę z robotnikami z grosza dziennego, posłał ich do winnicy swojej. I wyszedłszy około trzeciej godziny, ujrzał drugich stojących na rynku próżnujących. I rzekł im: Idźcie i wy do winnicy mojej, a co będzie sprawiedliwem, dam wam. A oni poszli. I znowu wyszedł około szóstej godziny, i także uczynił. A około jedenastej wyszedł i znalazł drugich stojących i rzekł im: Co tu stoicie próżnujący? Rzekli mu, iż nas nikt nie najął. Rzekł im: Idźcie i wy do winnicy mojej: A gdy wieczór przyszedł, rzekł Pan winnicy sprawcy swemu: Zawołaj robotników i oddaj im zapłatę począwszy od ostatnich aż do pierwszych. Gdy tedy poszli, którzy około jedenastej godziny byli przyszli, wzięli po groszu. A przyszedłszy i pierwsi, mniemali, żeby więcej wziąć mieli: ale wzięli i oni po groszu. A wziąwszy szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: Ci ostatni jedną godzinę robili: a uczyniłeś ich równymi nam, którzyśmy znosili ciężar dnia i upalenia. A on odpowiadając jednemu z nich rzekł: Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy! Azaliż się ze mną za grosz nie umówił? Weźmij co twego jest, a idź: chcę też temu ostatniemu dać, jako i tobie. Czyli mi się nie godzi uczynić czego chcę? czyli oko twoje złośliwe jest, iżem ja jest dobry? Tak ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi. Albowiem wielu jest wezwanych, ale mało wybranych.

Z LITURGIKI

Siedemdziesiętnica.

U św. Wawrzyńca za murami.

Post nadchodzi. Wierni zabierają się do rocznego odnowienia duszy przez umartwienie, modlitwę i dobre uczynki, aby tem z większą radością święcić Wielkanoc, aby z Chrystusem zmartwychpowstać z grzechów, ze starych nawyczek.

Gorliwsi już teraz zaczynają pościć, a grzesznicy, których dawniej za jaką zbrodnię wykluczono z Kościoła, mogą teraz zacząć pokutę i oczekiwać przyjęcia napowrót do Kościoła.

Także katechumeni czyli przygotowujący się do chrztu na W. Sobotę, otrzymywali w tą niedzielę pozwolenia, by się zapisywali na codzien-

nych słuchaczy nauki Bożej, przez 40 dni codziennie w kościele wygłaszanej.

Zapowiadano w tą niedzielę, że czas pokuty, czas próby i przygotowań do chrztu już nadchodzi. „Katechumeni dajcie imię"', to znaczy zapiszcie się na listę słuchaczy i wybrańców, którzy w W. Sobotę chrzest przyjmą.

W Rzymie zaczynano ten nowy okres wielkanocny nabożeństwem liturgicznem w starej bazylice św. Wawrzyńca. Tam na grobie rzymskiego djakona, odważnego męczennika odprawiał papież Mszę św. i do nowych katechumenów przemawiał, wzywał ich, by za przykładem św. Wawrzyńca mężnie szli do Chrystusa i by byli gotowi później w życiu, do zniesienia wszelkich prześladowań i cierpień za wiarę.



Sw. Wawrzyniec za murami w Rzymie.

Dawniej z tą niedzielą zaczynano rok kościelny, a również przygotowanie katechumenów do chrztu. Dlatego dziś jeszcze zaczyna się czytanie Pisma św., od pierwszej księgi Rodzaju.

Stawiano niegdyś katechumenom przed oczy stworzenie świata, Raj, szczęśliwy i błogi stan pierwszych rodziców, ich świętość, ale i upadek i nieszczęścia, jakie ściągnął na nich grzech pierworodny. Rozwijano przed katechumenami obraz Raju, piękność duszy przed upadkiem, ten obraz starano się utrwalić w duszy, wywołać tęsknotę za Rajem, za pierworodną świętością, za Rajem utraconym.

Ta niedziela zwana Siedemdziesiętnicą i następne dnie stanowią Przedpoście, należą już do wielkanocnego okresu. Ten zaś dzieli się na dwie części: jedna smutna, poważna, przygotowawcza do samej Wielkanocy, to Przedpoście i W. Post, druga wesoła, radosna i świąteczna — to czas wielkanocny.

Ta pierwsza zaczyna się dziś, porównywana bywa do czasów przed łaską, przed odkupieniem, do niewoli babilońskiej. Siedemdziesiętnica przypomina 70 lat niewoli i ucisku w Babilonji. Tam żydzi byli smutni, nie mogli śpiewać wesołych pieśni, myśleli o powrocie do Jeruzalem. — Dziś Kościół smuci się, że dużo dusz w niewoli czarta — dawniej z katechumenami tęsknił za W. Sobotą — i nie śpiewa „Alleluia". Jeszcze W. Postu niema, a Kościół już powoli wprowadza do świątyni modłów i umartwień.

2. MSZA ŚW. Z NIEDZIELI „SIEDEMDZIESIĄTNICY".

Ta niedziela i dwie następne, odznaczają się wielkiem bogactwem myśli, pewną trwogą i smutkiem, bo modlitwy i śpiewy tych niedziel są pod wrażeniem nietylko grzechów i odrzucenia, ale także nieszczęść doczesnych, jakie spadały na Kościół w czasach wędrówek ludów. — Wołania i narzekania introitu czy graduału wskazują na to, że wtedy złe i smutne czasy były dla Kościoła. Dziś podobnie się dzieje.

To jest uderzające jeszcze w tych niedzielach, że po kolei nabożeństwo bywało odprawiane niegdyś w trzech sławnych bazylikach rzymskich u grobów trzech największych pracowników we winnicy Pana, mianowicie u św. Wawrzyńca, Pawła za murami i u św. Piotra.

Introit, pełen rozpaczy i narzekań, wzięty z ps. 17, 5—7. „Ogarnęły mnie udręki śmiertelne i boleści piekielne objęły mię; i w cisku moim wzywałem Pana i wysłuchał głosu mego z świątyni swej". To obraz smutku i udręki po grzechu, lecz także nadzieja odkupienia. Dlatego w imieniu katechumenów-nieochrzczonych, w imieniu pokutujących grzeszników i całej ludzkości udręczonej tak się modli Kościół w *kolekcie:* „Modły ludu Twego prosimy Cię, Panie łaskawie wysłuchaj, a lubo dla grzechów naszych sprawiedliwie znosimy utrapienia, racz nas dla chwały Twego imienia wybawić". — Oto post nadchodzi i ma nam pomóc w zrywaniu wszelkich więzów z grzechem. Ale djabeł czy pokusy nie opuszczą nas dobrowolnie, musimy walczyć jak zapaśnicy. O tem nas poucza *lekcja* ze św. Pawła.

Mamy biec w zawody do mety, tak, abyśmy nagrodę otrzymali.

Biegnijmy przez Wielki Post, a dostaniemy spokój duszy, wolność od grzechu i życie z Chrystusem. *Gradual* zapewnia nas, że Bóg nam pomożes w zawodach, we walce z ciałem, szatanem i światem. (Zob. Ps. 9, 10—11). Za to w *Traktusie* (dłuższy śpiew po graduale) wraca znowu przerażenie i strach, co będzie, gdy nas Bóg surowo ukarze. Wyrazem tego smutnego i błagalnego nastroju duszy jest odśpiewanie 129 psalmu: „Z głębokości wołam ku Tobie, Panie" (129, 1—4).

W *ewangelji* przypowieść o robotnikach wzywanych do winnicy (Mat. 20, 1—16).

Trafne wezwanie i na czasie, bo w W. Post nadchodzi; dawniej dziś był początek roku kościelnego, dlatego wezwanie do pracy nad zbawieniem własnej duszy.

Wszystko jedno, o której godzinie wzywa cię Pan, masz nie zatwardzać serca, skoro usłyszysz głos, „Czy za młodu, czy w starości, idź do winnicy i pracuj.

Prefacja o Trójcy św. na końcu Mszy św. zamiast „Ite, missa est" = Idźcie, już po mszy,

śpiewa się — „Benedicamus Domino' Błogosławmy Panu.

3. CZYTANIE PISMA ŚW. NA TYDZIEŃ PO 70-TNICY.

Lekcja niedzielna (1-szy list do Koryntjan 9 rozdz. i 10-ty). *„Bracia! Nie wiecie, iż którzy biegną w zawody, choć wszyscy biegną, jeden tylko nagrodę dostaje. Tak bieżcie, abyście dostali. A każdy, kto o zakład w zapasy idzie, od wszystkiego się powściąga: ale oni (biegną), aby zdobyli wieniec skazitelny, a my (biegniemy) — aby otrzymać nieskazitelny. Ja też tak biegnę nie jakby naoślep, tak walczę na pięście, nie jakobym raził powietrze, ale gnębię ciało moje i w niewolę podbijam, aby snadź, gdy nauczam innych, sam nie został odrzucony".*

Św. Paweł daje nam z siebie przykład, jak umartwiać ciało. walczyć z pokusami, a biec do celu, do zbawienia duszy.

W brewjarzu księga Genesis czyli Rodzaju; pierwsza księga Pisma św. o początkach świata, o dziejach pierwszych ludzi.

Raj -- grzech — odrzucenie — obietnica Zbawiciela — to myśli przedpostne.

4. TYGODNIOWY KALENDARZ LITURGICZNY

14. poniedz. Ś. Walentyna (Walentego), kapłana i męczennika. † koło 269 roku.

15. wtorek. ŚŚ. Faustyna i Jowity, męcz. † 120 w Brescji.

16. środa, żadnego święta podług mszału i brewjarza. Msza z poprzedniej niedzieli.

17. czwartek — jak wczoraj.

18. piątek. S. Symeona bpa jerozolimskiego z czasów apostolskich, umęczonego koło r. 107.

19. sobota. Nabożeństwo do N. P. Marji. Jeżeli na sobotę (poza W. Postem (nieprzypadnie żadne święto większe czy zwykłe, jakiego świętego, wtedy Msza św. i modły kapłańskie są o Najśw. P. Maryji.

Sobota Boskiej Matce jest poświęcona, o tem pamiętają czciciele Maryji. *X. M. K.*

Schyłek życia Brata Alberta i jego śmierć.

XIV.

W siedemdziesiątym roku życia stanął Brat Albert u kresu swego świątobliwego i pracowitego żywota. Kroczył pogodnie do szczęśliwej wieczności, bez żadnego lęku, czy przesytu życiowego, jak prawdziwy Sługa Boży, albo raczej dziecko Boże, które z radością biegnie do domu rodzicielskiego. Od dziesiątek lat nauczył się Brat Albert codziennie umierać i był zawsze i wszędzie w radosnem pogotowiu, by próg śmierci przekroczyć i wnijść do wieczności, do której szedł spokojnie i wytrwale, jak cicho i stale płynie rzeka do oceanu.

„Jeszcze parę obiadów, a potem będzie wieczność" — mawiał czasem z pogodnym uśmiechem do swoich, gdy po zapraszano do stołu.

Z radością wielką opowiadał Brat Albert (jeszcze w 1906 roku) pewnemu kapłanowi, jak to Siostry Albertynki cieszą się, prawdziwie jak dzieci Boże, gdy która z nich opuści to ziemskie wygnanie i przeniesie się do wieczności. „Klaszczą z radości w dłonie i rachują sobie wesoło na palcach, ile z nich poszło już do Pana Jezusa i zgadują, na którą teraz kolejka przyjdzie, by iść do nieba". Owa dziecięca prostota Sióstr w zapatrywaniu się na śmierć, jak na coś dobrego, która im otwiera drzwi, by się dostać do Boga, do nieba, gdzie czeka na nich Pan Jezus, Matka Boska i Święci, bardzo cieszyła serce Brata Alberta, który zresztą tak samo się na to zapatrywał.

Gdy jedna z pierwszych Sióstr, świątobliwa Klara Serkowska, leżąc na łożu boleści, w Prusiu, 1899 roku długo i boleśnie kończyła swe życie, obecny tamże Brat Albert odezwał się ze wzruszeniem pobożnem, do otaczających go Sióstr: „O, jakże to pięknie i dobrze tak ciężko i boleśnie konać i umierać! Bo tak właśnie Pan Jezus, ciężko, długo i boleśnie na krzyżu konał i umierał. Jabym sobie z całego serca podobnej śmierci życzył! O tak! długo, ciężko, boleśnie i choćby w opuszczeniu, tak, jak Pan Jezus, konać i umierać!"

Chociaż Sługa Boży od dawna tęsknił, by złączyć się z Bogiem w niebie, to przecież taką miał świętą obojętność, że chciał zawsze tego tylko, czego Bóg chce, i li tylko na Jego wolę i skinienie zdany był we wszystkiem co do życia, choroby, lub śmierci, tak, jak się Bogu podoba.

Zdrowie Brata Alberta, nadwątlone pracą nadludzką, życiem pokutnem, kalectwem i wiekiem, słabło coraz bardziej, do czego przyłączyły się w ostatnich czasach uciążliwsze niedomagania i podobno choroba raka toczyła jego wnętrzności. Mawiał też Sługa Boży z bolesnym uśmiechem, że co do choroby, ma podobieństwo do św. Franciszka Serafickiego, który z powodu zniszczonego zdrowia, nie mógł już trawić spożytych pokarmów. Wycieńczenie sił i niedokrwistość tak czasem dokuczyły Bratu Albertowi, że zdarzało się, iż upadał z całkowitego znużenia na ziemię, by trochę odpocząć i przyjść do siebie.

Litość głęboka przejmowała, gdy się ujrzało Brata Alberta z podłożoną ręką pod głowę, na podłodze skulonego, by nieco sił nabrać, a potem wstawał i dalej sprawy załatwiał.

Po usunięciu się i wypędzeniu Rosjan z Małopolski w 1915 roku, Brat Albert korzystając z czasowej przepustki wojskowej, zwiedzał domy Braci i Sióstr w Przemyślu, we Lwowie i Stanisławowie, gdzie wszędzie miał sposobność podziwiać i uwielbiać Opatrzność Boską, która jego dziećmi duchownemi tak miłościwie się opiekowała. Żegnając się z nimi w Stanisławowie, po-

wiedział, że po raz ostatni bawi tutaj i że się już nie zobaczą na ziemi.

W dniu blizn św. Franciszka 1915 roku w kościele OO. Bernardynów w Krakowie dostał Brat Albert, po przyjęciu Komunji św. i odpustu, porażenia połowy ciała. Wyniesiono go z kościoła i musiał dłuższy czas w domu leżeć; nastąpiło potem polepszenie i Brat Albert wyszedł z tej niemocy ciała.

Rok 1916 był ostatnim w życiu Brata Alberta. Na wiosnę tegoż roku pojechał jeszcze do Lwowa i tam nastało wielkie pogorszenie zdrowia, a dr. Zakreis znalazł taki zły stan dostojnego pacjenta, iż wprost oświadczył jego otoczeniu, że nie dożyje przyszłego roku. Przeczuwał zresztą to samo Brat Albert, bo spoglądając z pagórka na miasto, rzekł do Braci: „Po raz ostatni patrzę na Lwów, już go nie zobaczę". I tak się stało. — Latem 1916 roku przebywał Brat Albert dłuższy czas w pustelni swej w Zakopanem, skąd jednak wyjeżdżał w sprawach swych Zgromadzeń do Tarnowa czy do Krakowa; stan zaś jego zdrowia, to się pogarszał, to znowu polepszał.

Od połowy września bawił Brat Albert w Krakowie i było widocznem, że coraz bardziej ze sił opadał, a niszcząca choroba nurtowała jego słaby organizm.

Stanisławowa Chmielowska, bratowa Sługi Bożego umyślnie przyjechała do Krakowa, aby go jeszcze raz przed śmiercią zobaczyć. Odwiedzali też Brata Alberta różni duchowni i świeccy dostojnicy. Wtem oświadcza Brat Albert z końcem listopada, że musi jeszcze raz pojechać do Zakopanego, by zapłacić ostatnią dłuższą ratę pieniężną hr. Władysławowi Zamoyskiemu za drzewo pobrane niegdyś na budowę domów w pustelni zakopiańskiej. Wziął od Starszej Zgromadzenia Sióstr Albertynek 3000 koron i mimo próśb i sprzeciwów (29.11) pojechał do Zakopanego w towarzystwie przełożonej Siostry Ludwiny Kriż i jej towarzyszki. Tutaj Brat Albert osobiście był w Kuźnicach i wyrównał wszelkie rachunki. Pożegnał się też z OO. Jezuitami w Zakopanem, zwłaszcza z O. Adamskim prowadził ożywioną rozmowę. Choroba tymczasem tak się wzmagała, iż pomoc lekarska była prawie bezskuteczna. Mimo opieki, jaką duchowne dzieci otaczały swego czcigodnego Ojca, postanowił Brat Albert prawie nadludzkim wysiłkiem wyjechać ze Zakopanego, bo, jak mówił — „nie chcę wam sprawiać kłopotu mą chorobą i śmiercią; pojadę do Krakowa i tam umrę". Niegdyś św. Franciszek przed śmiercią rzewnie i niezwykle żegnał się z górą Alverne, z kościółkiem i całą okolicą śliczną z jej górami, dolinami i rzeczkami, nawet z kamieniem, na którym się modlił i czyniąc znak krzyża św. wołał: „Żegnajcie, już was nie ujrzę!" Podobnie żegnał się Brat Albert z miłą swą pustelnią na Kalatówkach w Zakopanem, z ukochaną kaplicą, z domkami i swą cichą chatką i celką, gdzie tyle błogich chwil spędził na rozmowie z Bogiem i tyle niebieskich łask i pociech doznał. Pątrząc Czcigodny Sługa Boży na góry tatrzańskie i na to wszystko, co mu było tak drogie i czyniąc znak Krzyża św. nad płaczącemi Siostrami, rzekł: „Zostańcie z Bogiem, po raz ostatni na ziemi się widzimy". Ostatkiem sił, prawie mdlejąc wyjechał Brat Albert w towarzystwie Br. Serafina 20 grudnia do Krakowa, gdzie tramwaj zawiózł go do mostu podgórskiego, skąd wspierając się na swym towarzyszu ledwie dowlókł się umierający starzec do domu i położył się zaraz na swój ubogi tapczan, z którego już nie powstał.

Serdecznie, jak nigdy, żegnał się ze wszystkimi swoimi i znajomymi; choroba się wzmagała. Cierpiał bardzo, kres życia jego się zbliżał.

W jednej z tych chwil zdjął Brat Albert ze ściany nie duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i podając go Bratu Piotrowi rzekł: „Ta Matka Boska jest waszą Fundatorką, pamiętajcie o tem".

Gorąco pragnął się widzieć ze Siostrą Bernardyną, Starszą Zgromadzenia, która z powodu choroby, nie mogła zaraz przyjść do niego i dopiero pod wieczór (23.12) w sobotę wigilijną odwiedziła swego Czcigodnego Ojca, który się jej przybyciem bardzo ucieszył i mile o sprawach Zgromadzenia z nią rozmawiał. W toku rozmowy Brat Albert nagle jęknął i chwytając się za bok, powiedział: „O, jak mnie boli, jak nigdy nie doświadczyłem".

Zapewne nastąpiło w tej chwili pęknięcie wewnętrznego wrzodu i rozkład raka. Śmiertelna bladość okryła oblicze Brata Alberta i dostojny chory z nadmiaru boleści zemdlał, zdawało się, że życie kończy. Przywołano księdza i lekarza. Chory tymczasem przyszedł nieco do siebie, przyjął z rąk O. Górnego, przeora od Bożego Ciała ostatnie olejem św. namaszczenie. Dr. Wysocki, który leczył Brata Alberfta, kazał go przenieść do większej sąsiedniej izby, przyrządzić łóżko wygodniejsze i poduszki, na które nieprzytomnego chorego ułożono. Chociaż Brat Albert tyle razy w życiu, śmierci się niejako wymykał, i obecnie do czasu to się powtórzyło, to tym razem dni i godziny jego były policzone. Czcigodny chory z powodu boleści i osłabienia zwykle był nieprzytomny, ale miał dłuższe i krótsze chwile rozeznania, w których objawiał zwykłą swą swobodę ducha, dziecięcą uległość wobec Boga i tkliwą dobroć dla swoich i bliźnich.

GARŚĆ ZIEMI OBCEJ, napisał Stanisław Stapiński. Stron 350. Piękny opis podróży do Asyżu. — Czytanie tej pięknej książki nie tylko bawi i uczy, ale jest rzeczywistą poezją w prozie. Tak pięknym językiem jest napisana. Zaś ostatnia część p. t.: „Portofino" jest wprost arcydziełem literackiem. Jest to opis nawrócenia się młodego inteligenta do Boga. Czytelnikom, którzy lubią utwory literackie, książkę tę gorąco polecamy.

Chrześcijańska śmierć Szopena

Z okazji niedawnych uroczystości szopenowskich w Warszawie, przy odsłonięciu jego pomnika, zamieszczamy list ks. Aleksandra Jełowieckiego ze Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, donoszący pani Ksawerze Grocholskiej o jego śmierci.

J. M. J. † Paryż, 21 października 1849.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Przezacna Pani!

Jeszcze pod wrażeniem śmierci Chopina piszę o niej słowo. Umarł 17 października 1849 roku, o godzinie drugiej zrana.

Od lat mnogich życie Chopina było jak na włosku. Ciało jego, zawsze mdłe i słabe, coraz bardziej się wytrawiało od ognia jego genjuszu. Wszyscy się dziwili, że w tak wyniszczonem ciele dusza jeszcze mieszka i nie traci na bystrości rozumu, ani na gorącości serca.

Twarz jego, jak alabaster, zimna była, biała i przejrzysta, a oczy jego, zwykle mgłą przykryte, iskrzyły się niekiedy blaskami wejrzenia. Zawsze słodki, miły, dowcipem wrzący. a czuły nad miarę, zdawał się już mało należeć do ziemi. Ale niestety, o niebie nie myślał. Miał on niewielu dobrych przyjaciół, a złych, to jest bez wiary, bardzo wielu — i ci zwłaszcza byli jego czcicielami. A triumfy jego w sztuce najwnikliwszej zagłuszały mu w sercu jęki niewypowiedziane Ducha Świętego. Pobożność, którą z łona matki Polki był wyssał, była mu już tylko rodzinnem wspomnieniem; a bezbożność towarzyszów i towarzyszek lat jego ostatnich wsiąkała coraz bardziej w chwytny umysł jego, i na duszy jego, jak chmurą ołowianą, osiadła zwątpieniem. I tylko już mocą wykwintnej przyzwoitości jego się działo, że się nie naśmiewał głośno z rzeczy świętych, że jeszcze z nich nie szydził.

W takim to opłakanym stanie chwyciła go śmiertelna piersiowa choroba. Wieść o tem, blado zbliżającą się śmiercią Chopina, spotkała mnie przy powrocie moim z Rzymu do Paryża. Wnet pobiegłem do tego od lat jego dziecinnych przyjaciela mego, którego dusza tem droższą mi przez to była. Uścisnęliśmy się wzajem i wzajemne łzy nasze wskazały nam. że już ostatkami gonił. Nędzniał i gasł widocznie, a jednak nie nad sobą, ale nademną raczej zapłakał, użalając się morderczej śmierci brata mego, Edwarda, którego też kochał. Skorzystałem z tej tkliwości jego, aby mu przypomnieć matkę... i jej wspomnieniem rozbudzić w nim wiarę, której go była nauczyła.

„Ach, rozumiem cię, rzekł mi. Nie chciałbym umrzeć bez Sakramentów, by nie zasmucić matki mej kochanej; ale ich przyjąć nie mogę, bo już ich nie rozumiem po twojemu. Pojąłbym jeszcze słodycz Spowiedzi, płynącą ze zwierzenia się przyjacielowi, ale Spowiedzi, jako sakramentu, zgoła nie pojmuję. Jeżeli chcesz, to dla twej przyjaźni wyspowiadam się u ciebie — ale inaczej, to nie".

Na te i tym podobne słowa Chopina ścisnęło mi się serce i zapłakałem. Żal mi było, żal tej miłej duszy. Upieszczałem ją, czem mogłem. Już to Najśw. Panną, już Panem Jezusem, już najtkliwszemi obrazami miłosierdzia Bożego... Nic nie pomagało. Ofiarowałem się przyprowadzić mu jakiego zechce spowiednika. A on mi wkońcu powiedział:

„Jeżeli kiedy zechcę się wyspowiadać, to pewno u ciebie".

Tego się właśnie, po tem wszystkiem, co mi był powiedział, najbardziej lękałem.

Upłynęły długie miesiące w częstych odwiedzinach moich, ale bez innego skutku. Modliłem się wszakże z ufnością, że nie zaginie ta dusza. — Modliliśmy się o to wszyscy Zmartwychwstańcy, zwłaszcza podczas rekolekcji. Aż oto 12 b. m. wieczorem, przyzywa mnie coprędzej doktór Cruveiller, mówiąc, że za noc nie ręczy. Drżący od wzruszenia, stanąłem u drzwi Chopina, które po raz pierwszy przedemną zamknięto. Jednak po chwili kazał mię wpuścić, lecz tylko na to, aby mi rękę uścisnąć i powiedzieć:

„Kocham cię bardzo, ale mi nic nie mów. Idź spać!"

Wystaw sobie, kto możesz, jaką noc przebyłem! Nazajutrz przypadł dzień św. Edwarda, patrona ukochanego brata mojego. Ofiarując za jego duszę Mszę św., tak prosiłem Boga: O Boże litości! Jeżeli dusza brata mego Edwarda miłą jest Tobie, daj mi dzisiaj duszę Fryderyka! Więc ze zdwojoną troską szedłem do Chopina. Zastałem go u śniadania, do którego gdy mię prosił, ja rzekłem:

„Przyjacielu mój kochany, dziś są imieniny mego brata Edwarda".

Chopin westchnął, a ja mówiłem tak dalej:

„W dzień święta mego brata daj mi wiązanie".

„Dam ci, co zechcesz", odpowiedział Chopin, a ja odrzekłem:

„Daj mi duszę twoją!"

„Rozumiem cię. Weź ją! — odpowiedział Chopin i usiadł na łóżku.

Wtedy radość niewymowna, ale, oraz i trwoga ogarnęły mię. Jakże wziąć tę miłę duszę, by ją oddać Bogu? Padłem na kolana, a w sercu mojem zawołałem do Boga:

— Bierz ją sam! — I podałem Chopinowi Pana Jezusa ukrzyżowanego, składając go w milczeniu na jego obie ręce. I z obu ócz trysnęły mu łzy.

„Czy wierzysz?" — zapytałem.

Odpowiedział: „Wierzę".

„Jak cię matka nauczyła?"

Odpowiedział: „Jak mnie nauczyła matka!"

I wpatrując się w Pana Jezusa ukrzyżowanego, w potoku łez swoich odbył spowiedź świętą, i tuż przyjął Wiatyk i Ostatnie Pomazanie, o które sam prosił. Po chwili kazał dać zakrystjanowi dwadzieścia razy tyle, co zwykle się daje, na co ja rzekłem: „To za wiele".

„Nie za wiele, odpowiedział, bo to, com przyjął, jest nad wszelką cenę".

I od tej chwili, przemieniony łaską Bożą, owszem, samym Bogiem, stał się jakoby innym człowiekiem, rzekłbym, że już świętym.

Tegoż dnia poczęło się konanie Chopina, które trwało dni i nocy cztery. Cierpliwość, zdanie się na Boga, a często i rozradowanie, towarzyszyły mu aż do ostatniego tchnienia.

W pośród najżywszych boleści, wypowiadał szczęście swoje, i dziękował Bogu, i aż wykrzykiwał miłość swą ku Niemu, i żądzę połączenia się z Nim coprędzej. I opowiadał swe szczęście przyjaciołom, co żegnać go przychodzili, i w pobocznych izbach czuwali. — Już tchu mu nie stawało, już się zdawało, że kona, już jęk nawet był umilkł, przytomność odbiegła. Strwożyli się wszyscy i tłumem się do pokoju jego nacisnęli, czekając z biciem serca już ostatniej chwili. — W tem Chopin, otworzywszy oczy i ten tłum ujrzawszy, zapytał:

„Co oni tu robią? — Czemu się nie modlą?"

I padli wszyscy ze mną na kolana, i odmówiłem Litanję do Wszystkich Świętych, na która i protestanci mi odpowiadali.

Dzień i noc, prawie ciągle trzymał mnie za obie ręce, nie chcąc mię puścić, a mówiąc: „Ty mnie nie odstąpisz w tej stanowczej chwili". — I tulił się do mnie jak zwykło dziecię czasu niebezpiecznego tulić się do matki. I co chwila wołał: „Jezus Marja" i całował krzyż z zachwytem wiary i nadziei i wielkiej miłości. Niekiedy przemawiał do obecnych z największą tkliwością mówiąc: „Kocham Boga i kocham ludzi! Dobrze mi, że tak umieram... Siostro moja kochana, nie płacz. Nie płaczcie, przyjaciele moi. Jam szczęśliwy. Czuję, że umieram. Módlcie się za mną! Dowidzenia w niebie!".

To znowu do lekarzów, usiłujących przytrzymać w nim życie powiedział: „Puśćcie mnie, niech umrę. Już mi Bóg przebaczył, już mię woła do siebie! Puśćcie mnie, chcę umrzeć"! I znowu: „O piękna ż to umiejętność, przedłużać cierpienia! Gdybyż jeszcze na co dobrego, na jaką ofiarę! Ale na umęczanie mnie i tych, co mnie kochają. Piękna umiejętność!" — I znowu: „Zadajecie mi napróżno cierpienia srogie. Możeście się pomylili. Ale Bóg się nie pomylił, On mię oczyszcza. O jakże Bóg dobry, że mnie na tym świecie karze! O jakże Bóg dobry!"

Wkońcu on, co zawsze był wykwintnym w mowie, chcąc mi wyrazić całą wdzięczność swoją, a oraz i nieszczęście tych, co bez Sakramentów umierają, nie wahał się powiedzieć:

„Bez Ciebie, mój drogi, byłbym zdechł, jak świnia!"

W samem skonaniu jeszcze raz powtórzył najsłodsze imiona: Jezus, Maryja, Józef, przycisnął krzyż do ust i do serca swego, i ostatniem tchnieniem wymówił te słowa:

„Jestem już u źródła szczęścia!... I skonał.

Tak umarł Chopin! — Módlcie się za nim, ażeby żył wiecznie.

Uniżony wasz w Chrystusie sługa
X. A. Jełowiecki.

Młodzież u Ojca Świętego

W grudniu ub. roku przedstawiciele młodzieży z całego świata zebrali się w Rzymie dla uczczenia dwóch świętych Młodzieniaszków: św. Stanisława Kostki i św. Alojzego w dwóchsetną rocznicę ich kanonizacji. Z naszej ojczyzny przybyło blisko trzystu młodzieńców. Przez trzy dni odbywały się uroczyste nabożeństwa w kościele Św. Andrzeja przy Kwirynale, gdzie spoczywają szczątki św. Stanisława, jak również i w kościele Św. Ignacego, gdzie pochowany jest św. Alojzy, którego głowę na te uroczystości przywieziono z rodzinnego miasta Mantui.

W dniu 30 grudnia młodzież ta miała audjencję u Ojca Świętego, pielgrzymkę polską umieszczono w sali Klementyńskiej, do której Ojciec święty najpierw przyszedł w towarzystwie X. kardynała Kakowskiego, XX. biskupów Okoniewskiego z Pelplina, Tymienieckiego z Łodzi i Dubowskiego z Rzymu, także ks. Ledóchowskiego, generała Zakonu OO. Jezuitów, oraz swej świty.

Ojciec Święty wypytywał się skąd przybywają i przypominał sobie miejscowości, które kiedyś zwiedzał, będąc nuncjuszem w Polsce. Jednego z młodzieńców zapytał po polsku, jak się nazywa, ile ma lat i skąd jest. Kiedy zbliżył się do uczniów gimnazjum im. Zamoyskiego z Warszawy, ci ośmielili się go prosić, aby im przywiązał do sztandaru szarfy o kolorach papieskich, z napisami na jednej *Pius XI*, a na drugiej *Roma 1926*. — Oczywiście Ojciec Św. chętnie to uczynił, pobłogosławiwszy sztandary. Gdy już wszyscy ucałowali pierścień Rybaka, pochwalił Pana Boga po polsku i udał się do dalszych sal, gdzie była rozlokowana młodzież innych narodowości. Nasi tymczasem zeszli na dziedziniec Św. Damazego, aby stamtąd dostać się na salę, wyznaczoną dla ogólnej audjencji. Po ustawieniu przybyłych w sali, wprowadzono Ojca Świętego, a z piersi kilkutysięcy różnojęzycznej młodzieży, wśród niemilknących oklasków, wyrwał się okrzyk: „Niech żyje Ojciec Święty Pius!". Pius XI usiadł na tronie i przemówił do zebranych w języku łacińskim.

„Cieszę się, najukochańsza młodzieży, że cię mam przed oczyma, bo twój widok w tak licznych szeregach jest mi najprzyjemniejszym. Witam was słowami patrjarchy Izaaka: „Oto woń synów moich, jako woń pola urodzajnego, któremu błogosławi Pan". Z serca naszego wyrywają się też przepiękne słowa: „Salvete flores". Witajcie kwiaty, kwiaty narodów, kwiaty pierwszej wiosny „Salvete flores martyrum". Witajcie, kwiaty męczenników. Temi słowy was przedewszystkiem, z dalekiej meksykańskiej ziemi do nas przybyłych, witam, synowie męczenników i sami dzielni męczennicy. Cześć wam, waszej ojczyźnie, waszym biskupom, pasterzom, waszym kapłanom, wam wszystkim, którzyście tak chwalebną walkę wytrzymali ku podziwowi całego świata, na cześć Bożą, dla Królestwa Chrystuso-

wego, na chwałę Św. Matki Kościoła, w imię godności i dla zbawienia dusz, — przyjmijcie błogosławieństwo nasze i zanieście je z sobą do ojczyzny Waszej. Witajcie i wy, najukochańsi, którzyście przybyli z Polski, a których nietylko lilja czystości św. Alojzy, lecz i najczystszy św. Stanisław Kostka, ów Benjamin świętych młodzieniaszków do Rzymu wezwał. Witajcie szczególnie wy, którzyście nie szczędząc trudów z daleka przybyli, aby zobaczyć wspólnego waszego Ojca. Wielkiej dla was pragniemy piękności duszy i życia, byście się stali godnemi kwiatami wieków przyszłych. Sama obecność wasza tłomaczy wasz cel przybycia i okazuje, jak pięknemi pobudkami się kierowaliście. Kochajcie, jak Alojzy czystość, która jest ozdobą wieku młodzieńczego i przy której wszystkie inne cnoty nabierają ceny, jak znowu bez niej wszystkie są narażone. Mówię, kochajcie czystość, gdyż w niej znajdziecie wszystkie wrtości, które do życia i doskonałości w każdym stanie są potrzebne. Czystość ożywia światłość umysłu, siłę ducha i zdrowie samego ciała.



Muzyka ks. Kuznowicza.

Jest to cnota największej wartości, jednak do zachowania trudna. Przedewszystkiem czystość z dnia na dzień coraz troskliwiej zachowywaną być powinna i o to Boga pokornie proście, gdyż nikt nie może być wstrzemięźliwym, chyba, że mu Pan Bóg to da. Łaska Boża jest bowiem koniecznie potrzebna do zachowania czystości i to miejcie jak najgłębiej w sercach waszych zapisane. — Módlcie się, abyście tę łaskę osiągnęli, proście, a otrzymacie, gdyż owoce modlitwy są najpewniejsze. Módlcie się i czuwajcie; czuwajcie i módlcie się, modlitwa bowiem zjedna wam pomoc Bożą w słabości ludzkiej, a czujność jest wam potrzebna, ponieważ świat z siłą wprost nie do uwierzenia chce was pociągnąć. Ustrzeżcie się go, pilnując zmysłów zewnętrznych — tajników duszy, tak, aby wszystko czystem było, a przedewszystkiem to, czego ludzie nie widzą, a tylko Bóg przenika.

Lecz inna jeszcze jest cnota, która bardzo pomaga do zachowania czystości, a tą jest pokora, gdyż tylko pokornych Bóg miłuje. Jeżeli u was nie będzie pokory, nie będziecie odczuwać konieczności Boskiej pomocy, ani też konieczności czuwania, ponieważ człowiek pyszny, nie odczuwa niebezpieczeństw i niedostateczniości swojej, dlatego nietylko upadnie, ale i ostatecznie się gubi. Bierzcie więc przykład ze św. Alojzego, który przy takiej obfitości i bogactwie darów Bożych zarówno natury, jak i łaski, mogąc błyszczeć na świecie pomiędzy pierwszymi, wolał jednak wyrzec się wszystkiego, ukryć się i być nieznanym. Na modlitwie więc, na czujności i pokorze się opierajcie. Chcąc jednak osiągnąć doskonałość, potrzeba jeszcze miłości. O miłość Boga całem sercem proście, o miłość taką, jaką pałało Serce Jezusa, o miłość czynną i szlachetną. To są słowa, które wam podaję do rozmyślań. — „Przyobleczcie czystość waszą w szatę miłości. A w jakiż sposób umiera? Oto życie swe kładzie na ołtarzu miłości. Idzie z pomocą braciom, dotkniętym chorobą zaraźliwą i staje się przepiękną ofiarą miłości. To więc wam, najukochańsze dzieci z mego serca do waszych serc przelewam i polecam. To zachowujcie, a tak czyniąc, będziecie godnymi uczniami św. Alojzego Gonzagi. Tego jeżeli w samym kwiecie wieku pragnąć będziecie, stanie się to dla was osłodą w końcu życia. A życia tego życzę wam jak najjaśniejszego i udzielam wam takiego błogosławieństwa, jakiego sobie wszyscy życzycie. Udzielam go wam z głębi serca, przedewszystkiem wam tu obecnym, następnie dzieciom moim, a braciom waszym, których daleko w stowarzyszeniach, instytucjach i kongregacjach zostawiliście, a którzy wam tu duchem towarzyszą i których tu jesteście godnymi przedstawicielami. Niech to błogosławieństwo nasze spłynie na wasze ojczyzny, kraje i miasta, skąd przybyliście, na rodziny i rodziców, na przedsięwzięcia i prace wasze. A jeżeli w domu macie młodsze rodzeństwo, starców i chorych, to im, jako godnym pociechy specjalnie z serca błogosławię. A błogosławieństwo nasze niech będzie z wami zawsze i po wszystkich drogach życia razem z błogosławieństwem Boga samego".

Po tych słowach pobłogosławił Ojciec Święty młodzież i poprzedzony przez gwardję, oraz dostojników Kościoła, wśród okrzyków i oklasków młodzieży, przeszedł do swych prywatnych apartamentów.

Na dziedzińcu Św. Damazego ustawiła się orkiestra z zakładu O. Kuznowicza i kiedy Ojciec Święty przechodził loggiami Rafaela, zagrała hymn papieski, oraz „Jeszcze Polska nie zginęła".

Ojciec Święty wyszedł na balkon, wysłuchał obu hymnów, pobłogosławił orkiestrze i poszedł dalej, a młodzież zagrała jeszcze kilka kawałków polskich, ku ogólnemu zadowoleniu. Wogóle atrakcją całej pielgrzymki polskiej była orkiestra O. Kuznowicza. Ona to właśnie wygrywaniem kolend uświetniała nabożeństwa przy grobie św. Stanisława Kostki, jak również pochody religijne, na które była zapraszana. Ona zwracała uwagę tak Włochów, jak cudzoziemców i wszędzie gdzie się tylko pokazała, słyszało się słowo „Polacchi".

X. Dr. Stanisław Stachowiak.

Rzym, w styczniu 1927.



Paulina Jaricot.

Niedawno wszczęty został w Rzymie proces beatyfikacyjny Pauliny Jaricot, założycielki wielkiego dzieła misyjnego, które obecnie pracuje na całym świecie, a przez Papieża Piusa X zostało podniesione do godności *papieskiego Instytutu Rozkrzewiania wiary*. Paulina Jaricot urodziła się w Lugdunie, w roku 1799 i zmarła tamże 1862. Również i Stowarzyszenie *Żywego Różańca* zostało przez nią założone.

Hojny dar.

W dzielnicy Londynu, zwanej Reading, odbyła się uroczysta konsekracja nowego katolickiego kościoła, na wzniesienie którego ofiarował 50.000 funtów sterlingów pewien świeżo nawrócony anglikanin, chcąc tem okazać Panu Bogu wdzięczność za uzyskaną łaskę wiary.

W obronie dzieci.

Ponieważ we Włoszech, tak jak zresztą i wszędzie, gospodarze domów i właściciele hoteli niechętnie odnajmują mieszkania licznym rodzinom, włoskie Dzieło Opieki nad matkami i dziećmi postanowiło, by nazwiska takich niemiłosiernych właścicieli, pozbawionych ducha chrześcijańskiego, publikowane były —dla ich zawstydzenia.

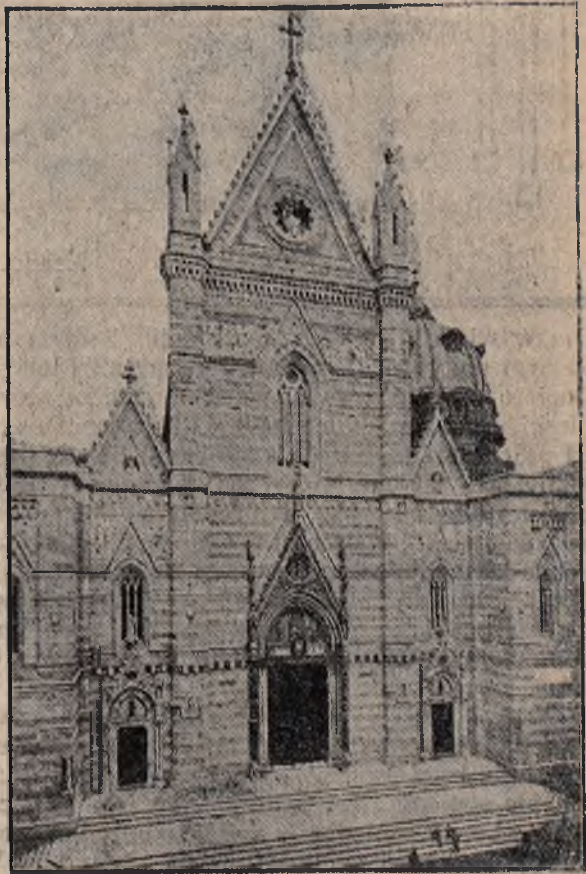
Uroczystości afrykańskie.

W kraju Uganda, w Afryce, przed kilkudziesięciu laty zawiązane zostało stowarzyszenie żeńskie pod nazwą: *Czarnych siostrzyczek Matki Boskiej afrykańskiej*. Co rok odnawiały siostry obietnicę posłuszeństwa i poświęcenia się na wychowanie dzieci murzyńskich. Ponieważ stanowiły one wielką pomoc dla misji, Stolica święta w r. 1925 podniosła je do rzędu zgromadzenia zakonnego. Na pierwszej kapitule generalnej wybrały sobie Czarne Siostrzyczki również czarną przełożoną i trzy asystentki, które złożyły śluby zakonne 16 lipca ub. r. W dniu zaś 24 sierpnia zastąpiło złożenie ślubów przez inne czarne siostry w liczbie 122. Do chwili tej przygotowywały się przez ośmiodniowe rekolekcje. Uroczystości przewodniczył biskup - fundator zgromadzenia, oraz dwaj Ojcowie biali, którym towarzyszyli w charakterze akolitów dwaj czarni djakoni. Oprócz tego znajdowało się w chórze czterech księży krajowych, świadczących o płodności Kościoła katolickiego w Ugandzie, założonego dopiero przed laty 40-u. Cała świątynia pełna była czarnych dziewic, pragnących niezadługo pójść w ślady swoich siostrzyczek zakonnych. Te ostatnie zaś kolejno podchodziły do biskupa i ręką położoną na księdze Ewangelji, powtarzały głośno formułę oddania się na służbę Bożą, przez śluby ubóstwa, posłuszeństwa i czystości. W miejscowym języku zgromadzenie nosi nazwę *Banabikira*.

W największem mieście Włoch.

(Wrażenia z podróży.

„A, opis Rzymu, pomyśli nie jeden z Szan. Czytelników. Nie, nie Rzymu, bo Rzym, to dopiero trzecie miasto Włoch co do wielkości; drugie Medjolan, a pierwsze *Neapol*. Stare, bardzo to stare miasto, założone dobrych kilkaset lat przed Chrystusem. I jedno z najpiękniejszych miast świata co do — położenia. Zbudowane tuż obok morza na terenie pagórkowatym, ozdobione w tyle górami, a zwłaszcza kopcącym prawie bez przerwy Wezuwjuszem, Neapol uderza przejeżdżającego cudzoziemca swą zewnętrzną elegancją. Zatoka morska, nad którą zbudowano miasto, ma kształt półkoła. Dusze delikatne, w pięknościach przyrody się kochające stworzyły przysłowie: „Widzieć Neapol, a potem umrzeć". Przy pogodzie, gdy się ogląda miasto z morza, z oddalenia dwóch — trzech kilometrów, Neapol napaja oczy czarem piękna, jedynej w świecie panoramy.



Katedra św. Januarego.

Ale wjedźmy do miasta, przejdźmy się po starych, wąskich ulicach, zaglądnijmy do domów i przypatrzmy się ludziom. Przejeżdżałem dwa razy przez Neapol. Pierwszy raz w drodze na Capri, mając zamiar pozostania tam ze dwa dni. Pociąg z Rzymu przybył o północy (punktualnie), stanął-



Neapol z Wezuwjuszem.

łem w wielkim hotelu, obok stacji. Będąc zmęczonym nie bardzo oglądałem urządzenia pokoju. Dopiero rano, gdy światło słońca rzuciło swym blaskiem po wszystkich kątach, tak się moje oczy od najróżnorodniejszych śmieci hotelowych przeraziły, żem natychmiast — bez śniadania — uciekł z tej brudnej spelunki. Zapłaciłem 20 lirów (8 zł.) za pokój na IV piętrze. W obawie, że wszystkie hotele takie, nie zatrzymywałem się w mieście. — Dopiero na Capri dano mi adresy dobrych hoteli dla cudzoziemców przeznaczonych. I skłamałbym, gdybym napisał, żem w hotelu Cavour źle mieszkał.

Neapol należy do najbrudniejszych miast Włoch. Mówią, że dziś, przy ostrych rządach Mussoliniego, brud i niechlujstwo zginęły z Neapolu. No, nie zupełnie. Byłem n. p. w gmachu policji, gdzie aż raził zaniedbany wygląd zewnętrzny budynku. Podobnej w niechlujstwie klatki schodowej nie widziałem nigdzie na świecie w gmachu urzędowym. Główne ulice miasta ładne i czyste, ale o setkach innych ulic nie można tego powiedzieć.

Ludzie niezwykle natrętni, przyzwyczajeni oddawna do „naciągania" cudzoziemców. Żywi i hałasujący. Kilka razy miałem wrażenie, że się pobiją, gdy mi ich kilku usługi swe ofiarowywało. Po mieście chodziłem sam, czytając w książce o przeszłości i pamiątkach miasta. Policjanci i wogóle wszyscy, których się o coś zapytawałem — byli bardzo grzeczni.

Niektóre rynki i szerokie ulice zawalone przekupniami. Wszędzie ryby i ryby. A krzyku! Każdy w niebogłosy swój towar zachwala. Bawiłem w Neapolu 14-go i 25-go grudnia. Było chłodno. — Na ulicach, pod bramami domów, bądź gdzie się zobaczyło pokaźną grupkę ludzi ogrzewających się przy ogniu. Nazbierają różnych sucharów, gałązek, co pali się wesołem płomieniem. Tu i ówdzie przygrzewali sobie wino czerwone i krzepili wysuszone żywem gadaniem gardła.

W bocznych ulicach sklepiki, pracownie na oścież otwarte. Niema nigdy większej zimy, więc nie muszą zamykać. Co kilkadziesiąt kroków obraz św. lub kapliczka z bogatem światłem. Nie widziałem ani jednego takiego sklepiku lub pracowni, gdzieby przed obrazem Matki Boskiej lampka nie gorzała.

Wiemy już, że Neapol jest największem, najbrudniejszem miastem Włoch, jest ono i najbardziej religijnem. Gdy w Rzymie żyd Natan był burmistrzem, a w całych Włoszech szalało prześladowanie katolicyzmu, Neapol jedyny trzymał wysoko sztandar katolicyzmu, mając katolicką radę miejską. Obok Panny Najśw. czczą oni wprost podziwu godnem przywiązaniem św. Januarego. Powtarzający się prawie rok-rocznie cud ciekącej krwi tegoż świętego, biskupa Neapolu, głośnym jest w całym świecie. Kościół, gdzie przechowują się w skarbcu głowa i krew świętego, jest sławną gotycką katedrą, zbudowaną w roku 1300. Kaplica św. Januarego w tejże katedrze jest przebogatą w arcydzieła sztuki. Zbudowałem się, gdy w dzień roboczy po południu o godz. 4-tej aż trzech księży zobaczyłem słuchających spowiedzi.

Kościołów w Neapolu dużo. Oprócz katedry na szczególne wyróżnienie zasługuje kościół św. Dominika. Mieści się w nim krucyfiks malowany, który przemówił do św. Tomasza: „Bene scripsisti Thoma" — „Dobrześ napisał Tomaszu". Spotkałem tu braciszka-Dominikanina Czesława, które

to imię jakoteż i Jacek — we Włoszech bardzo lubiane. W jednej z kaplic bractwo różańcowe modliło się koronkę za — (nigdziem takiej modlitwy nie spotkał) — za matki w stanie błogosławionym. Codziennie się tak modlą.

A teraz wspomnę o niebylejakiej sensacji. — W tym samym kościele byłem 15-go grudnia na — „Jasełkach". Jakto? W adwencie i „Jasełka?" Tak. Kościół — olbrzymi, był wypełniony. Mniej więcej na środku stało wielkich rozmiarów podwyższenie, zdobione czerwonym aksamitem i złotemi frendzlami. Miejsce dla muzyki i śpiewaków. O godzinie 5-ej rozpoczęły się „Jasełka". — Grali (na skrzypcach) i śpiewali najlepsi artyści i śpiewacy. Był wśród nich i jeden ksiądz. Trwało to półtorej godziny. Po zakończeniu „Jasełek" modlitwa różańca z wystawieniem Najśw. Sakramentu. Ów Brat Czesław mi powiedział, że corocznie odprawiają taką — *nowennę* przed Bożem Narodzeniem.

Mimo pięknego śpiewu i gry na skrzypcach, „Jasełka" te dosyć ujemne na mnie wrażenie zrobiły. Dla licznych słuchaczy bowiem (wstęp wolny) kościół — jak mogłem spostrzec — nie był kościołem.

Są w Neapolu katakumby z II wieku. Ze wstydem się muszę przyznać, żem przedtem nic o nich nie wiedział. Są znaczniej przestronne, więcej w nich powietrza niż w rzymskich. *Ks. F. Machay.*

Wesele w łańcuckiem.

(II. nagrodą odznaczona praca).

Słońce majowe chyli się ku zachodowi. — Strudzone całodzienną wędrówką po błękicie nieba, pokraśniało i żegna się z matką-ziemią, wysyłając po raz ostatni swoje ognisto-czerwone promienie, jakgdyby chciało ją objąć i ucałować na dobranoc. — Jeszcze jakiś czas zatrzymuje się swojemi promieniami na zieleniejących łąkach, muśnie kłosy zbóż, wychylające się ze swych obsłonek, przykucnie chwileczkę na studniach i opłotkach, przeskoczy sady i ogrody, napawając się jakgdyby ukradkiem wonią kwiatów rozchylonych, wpadnie jeszcze na dachy chat i umyka chyżo, niknąc hen na widnokręgu nieba.

Wieczór zaczyna zwolna okrywać i otulać całą wioskę G. swoją mroczną szatą.

Słychać ryk bydląt, nawoływania pastuchów, zapędzających trzodę do obór, skrzyp żórawi ustawicznie chylących się i podnoszących. Niezadługo powinna zapanować w całej wiosce zwyczajna cisza, przerywana rechotaniem żab po moczarach i szczekaniem psów w zagrodach.

Koło zagrody Marcinowej panuje dzisiaj jakiś dziwny ruch.

Już od paru dni, dom Marcinów wygląda, jakgdyby miały nadejść jakieś wielkie święta. — Wynosi się graty i myje, omiata się pajęczynę po ścianach i powale, wynosi się łóżka z wielkiej izby nad stajnię. Miły zapach pieczywa, rozchodzi się wokoło i niejeden z pastuchów goniąc tamtedy bydło z pastwiska dodawał sobie smaku.

Dziś pełno niedorostków schodzi się do zagrody, to gonią się, to biją się, to ciekawie przyglądają, jak stary Marcin przywiózłszy z miasta piwo w beczułkach, stacza je z wozu i układa po kolei w komorze.

Tu i ówdzie przy przełazach i płotkach stoją grupki dziewcząt i starszych kobiet, liczą ile to będzie drużek, i swatów, omawiają kto będzie starostą, a kto będzie szwaszczył [1]).

Ruch wielki, bo wielkie zainteresowanie się — Marysia od Marcinów wydaje się, jutro jej wese-

[1]) **swaszczyć od swaszka: starsza kobieta, ochmistrzyni wesela, która rozdaje szyszki, czyli małe placki na wzór bułek, czepi pannę młodą.**

JUZEF ANDOR 30

NAUCZYCIELKA

POWIEŚĆ.

Tłumaczenie z madziarskiego.

W orlich oczach starej niewiasty błysnął złośliwy płomień. Ukłoniła się, nic mówiąc ani słowa i znikła. Pulchna służąca przyniosła płaszcz i podała go, a oczy nauczycielki znów spoczęły na bolesnej twarzy Matki Boskiej w złotem obramowaniu. Idąc już drogą, usłyszała jeszcze słowa hrabiego do dziewczyny:

— Proszę powiedzieć pani ochmistrzyni, że jutro wyjeżdżam i niech zaczeka na moje dalsze dyspozycje.

Szła, jak nieprzytomna po gładkiej, przymarzniętej drodze, bez myśli, bez czucia, zmęczona, zdrętwiała. Wielki czarny cień włókł się za nią po białym śniegu i wielki czarny cień rozłożył się na jej białej duszy.

XVII.

Następnego dnia pierwszą godzinę w szkole miał ks. wikary. Na końcu lekcji pomodlił się z dziećmi, jak zwykle i już zabierał się z powrotem do domu, gdy na małym ganku o drewnianych kolumnach spotkał się z nauczycielką.

Twarz miała bladą i wycieńczoną, oczy mętne, jednak z wyrazem jakiejś sztywnej, absolutnej decyzji. Szła chwiejnym krokiem, a jednak wyprostowana, jak zwycięzca zmordowany ostateczną walką. Wikary przeraził się na jej widok, nigdy bowiem nie widział jeszcze podobnego przygnębienia na ludzkiej twarzy.

Wieść usłyszana od garbusa paliła ciągle jego mózg. Przygotowywał się do ataku, ale rozbroił go widok niezmiernej boleści.

le, a prawie cała wioska, to jej krewni blizcy lub dalecy.

Dziewczęta po wydojeniu i uporaniu się z robotami wieczornemi, spieszą do Marysi. Jedne przynoszą piękne żywe kwiaty, robią bukiety, obwiązują czerwonemi i białemi wstążeczkami, by mieć je na jutro dla swatów, inne stroją wiechę **), dla Marysi białemi piórkami i piernikami, a inne gromdazą się przed oknem chaty Marcinów, by Marysi odśpiewać dobranoc.

Zagroda już opustoszała, — światła w wiosce już wszędzie pogasły, tylko u Marcinów pali się jasno lampa zawieszona na ścianie. Hoże dziewczęta chwilki spokojnie nie usiedzą, zajęte swoją pracą, przypowiadają sobie wzajemnie i co pewien czas wybuchają piskliwym śmiechem. Marcinowa tylko kręci się ustawicznie z małej izby do wielkiej, to do komory. Marysia zmęczona całodziennem bieganiem i przygotowaniami do wesela usiadła przy stole, zadumana i zamyślona, gdy wtem pod oknem daje się słyszeć przeciągła i smętna piosenka:

Dobranocenka
Nasza Marysienka,
Żebyś zdrowa spała,
Jutro raniusienko
Już weselusienko
Do kościoła się brała.

Wśród ciszy nocnej, ożywionej tylko szmerem listków drzew, poruszanych lekkim wietrzykiem, głos leciał ponad sady, ogrody, ponad rzeczkę, doszedł do dużej kępy drzew, okalającej małą dzielnicę wioski, zwaną „Zagrody", odbił się echem i napowrót wracał, napełniając całą przyrodę jakimś dziwnym, niewypowiedzianym smutkiem.

———

**) wiecha: mała choinka.

Zrana, skoro tylko słoneczko się wychyliło i rozbłysko kryształowemi perełkami rosy, uwieszonemi po barwnych płatkach kwiatów, cała wioska przybrała odświętny wygląd.

Ze wszystkich stron widać rzędy wozów zaprzągniętych w pojedynkę lub w dwa, a nawet cztery konie; — konie przybrane zielenią, upstrzone różnobarwnemi wstążeczkami, wplecionemi do grzyw, — krasne stroje drużek i tuman kurzu, jaki wlecze się za wozami, tworzą barwny korowód posuwający się szybkiem tempem do domostwa Marcinów.

Już zajechali! Pełno powitań serdecznych, pełno radości i wesela, już i pan młody zjechał i muzyka nadjechała, dwóch skrzypków, basy i cymbałki.

Młodzież gromadzi się w wielkiej izbie. Drużki w butach z cholewami karbowanemi, w sukienkach krasnych, gorset wybijany błyszczącemi blaszkami, korali czerwonych mnogie sznury, wstążki, różnobarwne, zwisające od szyi aż do stóp, włosy gładko uczesane, ułożone z tyłu głowy w szeroki kubek, poprzetykane żywemi kwiatuszkami. Swaty w butach, w białych koszulach, przepasanych pasem, zawiązanych u szyi wstążeczką czerwoną, w płótniankach bieluchnych, jak śnieg, z bukietem u lewego boku, chodzą żywo po izbie, przekomarzają się z drużkami, robiąc wiele wrzawy i krzyku wesołego. Przy stole na ławie siedzi panna młoda — Marysia — ubrana w białą sukienkę, a pełno drużek jej asystuje: jedna utyka jej welon w piękny kabłączek nad czołem, inna układa wianek mirtowy na głowie, inna obcina listki mirtu i przystraja niemi cały welon, inna poprawia sukienkę, by dobrze leżała.

Już wszystko gotowe do kościoła. — Schodzą się rodzice młodych, do wielkiej izby, młoda para staje razem, a starosta wesela, stary Jan, chociaż w podeszłym już wieku, ale jeszcze krzepki

---

Uniósł kapelusz i wyrzekł zwykłe słowo przywitania. Dziewczę pochyliło głowę, obejrzała się błędnie dokoła, w końcu zaś wzrok jej spoczął na łagodnie współczujących czarnych oczach wikarego. Stanęła i wolno podała mu rękę. Wikary dotknął jej. Była zimna, jak lód i drżała.

— Pani chora. Czy mam odesłać dzieci do domu?

— Dzieci? — powtórzyła, jak gdyby budząc się z osłupienia. Dzieci? O nie, potrzebne mi będą. —

Oparła się o słup i nagle zapytała:

— Czy ks' wikary miał kiedy bezsenne i trapiące noce? Czy miał kiedy pokusy i ronił krwawe łzy.

— Miałem — odpowiedział poważnie młody kapłan.

— No, i czy nie tem więcej pracował wtedy ksiądz wikary? Czy nie szukał w pracy ukojenia? Czy można się poddać całkowicie w niewolę własnego serca i duszy własnej?

Mętny blask znikł z jej oczu, a natomiast rozpalił się w nich płomień gorączkowego ognia. — Wikary zląkł się, że upadnie.

— Nie opuszczałem pracy — odpowiedział — ale praca nie pocieszyła mnie nigdy.

— Kto mówi o pocieszaniu! — wykrzyknęła namiętnie nauczycielka. — Pocieszanie, to datek dla dziadów!

— Jeśli od ludzi pochodzi. Ale trzeba go szukać u Boga. Ja je znajdowałem w modlitwie.

— Naiwna z księdza i wierząca dusza. Ja już dawno straciłam wiarę, a naiwność moja...

Ciemny rumieniec oblał jej twarz. Prędkim, badawczym wzrokiem obrzuciła wikarego.

Jego niekształtna, podłużna twarz, czarne błyszczące oczy, okazywały rzetelne współczucie, cierpliwość i dobroć. Czuła, jak spływał z nich spokój na jej podniecone nerwy.

— Ksiądz wikary jest bardzo dobry — ciągnęła dalej, walcząc przemocą z napływającemi łza-

i wymowny tak, że mu nikt nie sprostał w języku, stanąwszy na ławie, poprawiwszy wąsa, zaczyna prawić głosem donośnym, a w tej chwili rzewnym:

„Żegnajcie mi ojcze i wy matula coście Marysię wychowali. — Dziękuję wam za wasze trudy i mozoły“.

„Bywajcie zdrowi“. „Żegnam cię chatko, która dawałaś przytułek“.

„Żegnajcie progi i ściany“.

Szlochanie głośne dało się słyszeć naokół, a Jan prawił i nie ustawał. „Żegnajcie pola“.

Po twarzy Marysinej potoczyły się łzy, jak groch grube, jak kryształ wody przeźroczyste, spływały na welon i zraszały bieluchną jej sukienkę — Jantek — pan młody, twarda młodzieńcza natura, a jednak, by tylko widział, że ktoś płacze, ukradkiem podnosi rękę i rękawem płótnianki łzy obciera.

Zdawało się, że koniec tej żałosnej scenie, kiedy Jan skończył, gdy znowu drużki zaintonowały:

Przełaź Marysiu progi,
Uchyć rodziców pod nogi;
Niech się im serca krają
Że cię tak młodo wydają,
Jużeś się tutaj doś nabyła
I w wianeczku nachodziła.

Uchwyciła Marysia rodziców pod nogi, pocałowała w jedną i drugą rękę. Wzruszeni rodzice ucałowali swe dzieci, pożegnali, pobłogosławili na nową drogę życia.

Wnet rozpogodziły się oblicza, a płacz i smutek w radość się przemieniły, kiedy muzyka ucięła ognistego marsza.

Wychodzą wszyscy z izby i wsiadają na wozy. Panna młoda na środku wozu, zaprzągniętego w cztery konie — na stołku, a nad nią wiecha, trzymana przez jedną z drużek, naokoło zaś wozu posiadały drużki śpiewając, zanim woźnica usadowiony na koniu ruszył z miejsca.

Do kościoła jedziewa
Marysienkę se weziewa
Do kościoła świętego
Do stanu małżeńskiego.

(Dok. nast.) *Bol. Holub.*

Bohater obowiązku.

„Dobry pasterz daje duszę swoją za owce swoje“, powiedział Pan Jezus i dał przykład z siebie samego. Takim dobrym pasterzem był w naszej parafji ś. p. ks. proboszcz Djonizy Błoński. Przybył on do nas z parafji Zelszewa, gdzie też położył wiele pracy i zasług. Odrestaurował mianowicie kościół i walczył o niego z nowopowstałą herezją mankietników, czyli kozłowitów, którzy chcieli kościół dla siebie zająć. Kiedy więc podeszli do kościoła, ksiądz Błoński stanął w obronie jego przy drzwiach, nie lękając się postrachów. A chociaż drzwi wyłamali i wtargnęli do wewnątrz, on cofnął się ku ołtarzowi i stamtąd przemówił do nich tak uspakajająco i łagodnie, że prawie ich przekonał. Potem modlitwa jego dokonała reszty i zbłąkane owieczki powróciły do owczarni.

Przybył ten dzielny kapłan do naszej parafji w roku 1911, w pełni zdrowia, sił i wieku, a miał do załatwienia niemałe sprawy. Najprzód połowa kościoła, wraz z ołtarzem była rozebrana i zaczęta przybudówka. Tę część zaczętą, a nie dokończoną zabito deskami, na tej drewnianej ścianie ubrano ołtarz i tak się odprawiały nabożeństwa. W zimie było ciasno, przy ołtarzu były przeciągi, ksiądz narażony był na wszelkie niewygody. Latem kazania mówił na cmentarzu. Musiał też godzić nieporozumienia o plany przy-

---

mi. — Żałuję, że byliśmy kiedyś na stopie nieprzyjacielskiej, bo nie mam teraz ani jednego życzliwego przyjaciela.

Wikary nie wiedział co ma począć. Nic nie rozumiał. Nie znał świata duchowego dziewczęcia. Przypuszczał tylko jakąś wielką tragedję i wyobrażał sobie, że mu ona przychodzi na pomoc.

— Ani wiem, ani pytam panią, dlaczego pani tak mówi, i jaki jest powód jej smutku. Może przyjdzie czas, że pani sama otworzy przedemną swe serce, jako przed sługą Bożym. Proszę Pana Boga, aby to jak najprędzej się stało. Ta ziemia, to pole kłamstw, a człowiek, jeżeli odwrócił się od Boga i upadł, licząc na własne siły, tylko za powrotem do Niego może znowu powstać.

Nauczycielka poruszyła głową przecząco.

— Moja wiara jest inna. Może być, iż ks. wikaremu zazdroszczę, ale moja wiara ambitniejszym czyni człowieka. Chcę znaleźć siłę w pracy.

Usiłowała trzymać się dumnie, ale oczy jej zaszły łzami.

— Z Bogiem! wielebny księże. Chciałabym was rozumieć, bo może wtedy byłabym szczęśliwszą, lecz inne jest moje powołanie. Jednak skoro mnie spotkała próba, to widać była ona potrzebna do utrwalenia mnie w tem powołaniu.

Coś przyszło jej na myśl, i lekko się uśmiechnęła.

— Prawda, że od dziś i wieczory mam zajęte.

Ks. wikary zacisnął wargi, aby się pohamować. Nie chciał się sprzeciwiać tej słabej i zmęczonej istocie i krótko tylko odpowiedział.

— Z tej pracy nie będzie błogosławieństwa, ani nawet żadnego zapomnienia. Proszę na moje słowa pamiętać!

Ukłonił się i odszedł ku plebanji. Nauczycielka stała jeszcze chwilę, poczem zawróciła do szkoły. Nie widziała przed sobą dzieci, tylko jakieś kółka migające przed jej oczyma. (C. d. n.)

budówki, bo też były podwójne i jedna część parafjan chciała tak, a druga — inaczej budować. A że wszyscy mieli, jak zwykle, swoje racje, trzeba to było godzić w dobry sposób. Dalej ksiądz proboszcz odrestaurował swoim własnym kosztem plebanję i oprócz dobra duszy każdego parafjanina, dbał też i o dobre gospodarstwo. Jego staraniem i zachętą założono w naszej parafji trzy mleczarnie. Tępił pijaństwo, jeździł z kazaniami na odpusty i przemawiał jak misjonarz, nie żałując piersi, ani gardła. Raz na św. Trójcę w Gończycach, gdzie wiele ludu się zebrało, chcąc, żeby go wszyscy słyszeli, wszedł na drewnianą dzwonnicę i zaczął mówić przez okno tak silnym głosem, że aż ochrypł, a wszyscy obecni dziwili się jego gorliwości.

Nie było dla niego ani późnej godziny do chorego, ani zimna w kościele, ani głodu. Gdy ukończył nabożeństwo, siadał zaraz do konfesjonału, nie posilając się, a wszystkich wyspowiadał i udzielił Komunji św.

Sam raz pamiętam w odpust Niepokalanego Poczęcia, ksiądz zaraz po Mszy poszedł spowiadać. Byłem wtedy na plebanji w sprawie pogrzebu mojej ciotki. Oczekiwaliśmy, że przyjdzie choć na obiad, trzy razy służąca chodziła po niego, by się posilił, a przynajmniej rozgrzał ciepłym napojem, ale nie przyszedł. Wyspowiadał wszystkich, odprawił nieszpory naczczo i dopiero wrócił do domu, tłomacząc się, że wszyscy nie mogą czekać na jednego.

Narażając się często w taki bohaterski sposób zaczął upadać na siłach i zdrowiu. W nadziei że się jeszcze uratuje, kazał się odwieźć do Warszawy, do doktorów, ale już było zapóźno. — Śmierć nieubłagana przecięła pasmo jego życia.

Ach, co za cios uderzył w parafję, gdy przyszedł telegram o śmierci ks. proboszcza! Co za boleść odbiła się w sercu każdego parafjanina Zgodnie z jego wolą postarano się o sprowadzenie zwłok do parafji, którą całem sercem ukochał i dla niej życie swoje położył, jako bohater obowiązku i prawdziwie „Dobry Pasterz“.

Parafja Górzno, powiat Garwolin.

Michał Pieniążek.

Tradycje u moich rodziców.

Będąc małą dziewczynką, chodziłam do szkoły wiejskiej w Czernichowie, 3 mile pod Krakowem. Uczyłam się dobrze. Ojciec mój bardzo cieszył się z tego, gdy mu co rok przyniosłam nagrodę. Nikt w domu nie umiał na książce czytać, tylko ja i ojciec, to też prawdziwa była radość, gdy mnie ojciec brał ze sobą na chór do kościoła i obydwoje raniutko śpiewaliśmy godzinki o Matce Boskiej. Ojciec — niech z Bogiem spoczywa — dawał mi zawsze dobry przykład, bo kochał Matkę Najświętszą całem sercem. Zapalał się gdy mi opowiadał różne jej cuda i w sercu zaszczepił dobre ziarno. Pamiętam, jak na Matkę Boską Niepokalaną śpiewał całem sercem: „Witaj święta i poczęta...“ Dzisiaj mam 55 lat, a sposobności nie miałam słyszeć tak pięknego śpiewu, jak u nas w Czernichowie. — A gdy przyszły święta Bożego Narodzenia, gdy śpiewali kolendy na sumie i na nieszporach, cóż to była za radość słuchać! Śpiewaliśmy i w domu, bo rodzice nie pozwalali tego dnia nigdzie chodzić do sąsiadów.

W Wielką Niedzielę znowu, to mój ojciec zawsze strzelał z moździerza ze swoim bratem, Józefem, o 5 rano, pod kościołem, kiedy wychodziła procesja rezurekcyjna. Jak jękło, to aż ludzie sobie uszy zatykali, a zanim trzy razy obeszli kościół, to kilka razy ojciec zdążył wystrzelić.

Choć to nie tak znowu dawno, ale inni wtedy byli ludzie i inny obyczaj. Mieszkaliśmy obok rynku targowego. W zimie podczas silnych mrozów, to ludzie przychodzili do nas się zagrzać. Każdy, kto przyszedł, mówił: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, — a moi rodzice: „Na wieki wieków. Amen“. Witajcie! mówił ojciec. A zdrowiście? — Bogu Najwyższemu dzięki! — A to dobrze. — Gdy się zagrzali, to wychodząc mówili: „Zostajcie z Bogiem!“ — a ojciec odpowiadał: „Idźcie z Panem Jezusem!“ — Ile to razy był pochwalony Pan Jezus przez ten jeden dzień!

I sąsiedzi byli też religijni. Gdy mnie mama posyłała rano do sklepu p. Maczka, to słyszałam codziennie, jak cała rodzina śpiewała „Godzinki“, a kiedy przyszło zakończenie: „Z pokłonem Panno Święta“ — kto był w sklepie, każdy klękał i kończył z nimi razem. Idąc ze sklepu spotykałem starszą kobitę; nazywała się Topolska prowadziła krowę na paszę. W jednej ręce trzymała powróz z krową, w drugiej różaniec — i modliła się na różańcu.

My dzieci nie słyszeliśmy w domu nigdy nic złego. tylko dobre. Gdy nas rodzice wysyłali do kościoła na sumę, to musieliśmy później całe kazanie opowiedzieć i który ksiądz miał sumę, a który kazanie, abyśmy ich nie okłamali i nie poszli za kościół. W zimie, gdy mój ojciec miał czas i nie szedł do roboty, a zdarzył się tego dnia jaki pogrzeb, to szedł i śpiewał, bo był zawsze przewodnikiem śpiewu: „Już idę do grobu zimnego, ciemnego, gdzie będę spoczywał aż do dnia sądnego“, albo „Dusze w czyściu upalenia“. Ludzie mu dziękowali po pogrzebie, a on mówił, że to tylko przysługa; jak umrę, to wy mi znów usłużycie. To też niezadługo usłużyli mu wszyscy, bo mój ojciec kochany umarł młodo z wypadku przy robocie, mając lat 42. Wszyscy go odprowadzili i płakali za nim i ks. proboszcz Królikowski miał łzy w oczach.

Po pogrzebie musiałam opuścić swoją rodzinną wioskę. Przyszłam do Krakowa, do służby, mając lat 12, a w 24-m roku wyszłam zamąż. Mieszkam w Podgórzu, jestem już wdową od lat ośmiu, majątku nie mam żadnego, tylko dzieci, z któremi żyję, jak mogę, ale szczęśliwa

jestem ze swojego losu, jakbym dwie kamienice miała w Krakowie. Pamięć o zacnych rodzicach nie wygasła w mem sercu. Ile razy zaśpiewam sobie jaką pieśń, którą lubiał mój ojciec, to płaczę, ale ta żałość nie jest bolesna. Największa moja pociecha to kościół OO. Redemptorystów i „Dzwon Niedzielny“, który czytam co niedziela.

Kochany „Dzwonie“, czy przyjmiesz to moje pisanie? A jak nie dobre, to proszę wrzucić do kosza. Jedna z czytelniczek *A. Stichowa,*
Podgórze, Zamojskiego 41.

Przegląd tygodniowy.

Cała Polska do żywego poruszona i oburzona zdradziecką działalnością posłów białoruskich: Taraszkiewicza, Rak-Michajłowskego, Wołoszyna, Miotły i Hołowacza.

Sejm obradował 4-go lutego nad ich wydaniem sądowi. Według pisma prokuratora wileńskiego są oni w stanie oskarżenia z art. 102 i 110 za to, że działając wspólnie z innemi osobami brali udział w kierowniczych organizacjach komunistycznej partji polskiej i komunistycznej partji zachodniej Białorusi. Z polecenia centralnego komitetu tych partyj utworzyli zakonspirowaną grupę, kierując działalnością jawnych ugrupowań politycznych, jak białoruskiej włościańsko-robotniczej Hromady i N. P. Ch., a to *celem wykorzystania tych ugrupowań dla dążeń rządu ościennego państwa, polegających na przygotowaniu buntu zbrojnego, celem obalenia istniejącego w państwie poskiem ustroju społecznego i oderwania od Rzeczypospolitej Polskiej części jej terytorjum.*

Posłowi Taraszkiewiczowi zarzuca się między innemi, że brał ciągły i bezustanny udział w spisku i był jego kierownikiem, zredagował projekt okólnika centralnego komitetu komunistycznej partji polskiej, stanowiącego podstawę dla całokształtu działalności komunistycznej, opisując w nim wyczerpująco taktykę, jaką winna się kierować akcja antypaństwowa i zdradziecka, dalej, że *wydawał dokumenty na nielegalne przejśce do ościennego państwa w celach zbrodniczych,* które to dokumenty służyły im za paszporty, następnie, że osoby, które Komintern przysyłał w celach agitacji antypaństwowej, kierował na stanowiska wyższe w organzacjach przez siebie prowadzonych, dalej, że brał udział w konferencji gdańskiej, gdzie otrzymał od agenta obcego państwa *15.000 dolarów na zbrodniczą akcję w Polsce,* że prowadził wyraźnie buntowniczą i zdradziecką akcję, korzystając z pieniędzy, otrzymywanych od ościennego państwa za pośrednictwem Banku Białoruskiego Spółdzielczego, którego był jednym z kierowników, wreszcie, że przechowywał u siebie w znacznych ilościach literaturę zbrodniczą celem jej kolportażu.

Posłowi Wołoszynowi zarzuca się mniej więcej to samo. Prócz tego, że podburzał ludność białoruską przeciwko władzom i ludności polskiej. Dalej pos. Wołoszyn nawoływał do wyrzynania policji i urzędników, kierował zbrojnemi ćwiczeniami Hurtków, nawoływał do niepłacenia podatków, kazał rejestrować broń, posiadaną w Hurtkach dla celów zbrojnej akcji, dalej nawoływał do niesłużenia w wojsku, wreszcie, że w Wilnie prowadził tłumy na więzienie, podżegając je do wystąpień zbrojnych.

Ten ostatni fakt zarzuca się także posłowi Michajłowskiemu, prócz faktów zasadniczych, powyżej przytoczonych.

Posłowi Miotle zarzuca się ponadto organizowanie bojówek w powiecie dziśnieńskim w celu wywołania zbrojnego powstania, oraz, że zobowiązał się w tym celu dostarczyć broń od ościennego państwa.

Posłowi Hołowaczowi zarzuca się, że brał udział w spisku jako jeden z jego kierowników, że organizował w roku 1924 w województwie nowogrodzkiem bandy dywersyjne w porozumieniu z organami państwa ościennego i t. d.

Wynikiem ustawicznego podżegania tych posłów do mordu i wystąpień gwałtownych, był cały szereg zabójstw funkcjonarjuszy politycznych, oraz rozruchy w szeregu miejscowości.

Biedne Kresy Wschodnie! Oprócz zdradzieckich „Hurtków“ mają i różnych Wojewódzkich, nie Białorusinów, lecz Polaków. Do jakich to zdrad się posuwa człowiek, w celach zysku pieniężnego! Bo i „Hurtki“ i poseł Wojewódzki — niby to „ludowcy“ — za pieniądze zdradzali państwo i swych kolegów.

Sejm zachował się w tej sprawie dosyć poprawnie, *posłów-zdrajców* wydano sądowi.

Mniejszości narodowe, socjaliści i skrajnie lewicowe partje ludowe głosowały przeciw wydaniu. Widać, że nie bardzo się przejmują sprawami Ojczyzny. Dużo posłów się wstrzymało od głosowania.

Najbliższy dekret rządowy ma wprowadzić w całej Polsce ten sam sposób wybierania rad gminnych, jaki obowiązuje przy wyborach sejmowych. Będzie kłótni i nienawiści!! Sejm nic nie wart, rady gminne nie będą lepsze.

Między Chinami i Anglją nawiązały się rokowania. Rządy zarówno północne, jak i południowo-chińskie są gotowe przyjąć propozycje angielskie, ale pod warunkiem wycofania sił zbrojnych, wysłanych do Szanghaju. Rząd angielski, jak słychać — skłonny jest do zrobienia tego ustępstwa, ale tylko w tym razie, jeżeli kantoński minister Chen, złoży formalne przyrzeczenie, że koncesje międzynarodowe w Szanghaju pozostaną nienaruszone w razie zajęcia tego miasta przez wojska kantońskie.

Rząd chiński pozatem żąda od Anglji oddania miasta Weihaiwei, do czego Anglja zobowiązała się układem waszyngtońskim, a dotychczas nie wypełniła tego zobowiązania.

Wszystko to zdaje się wskazywać, że najbliższy rok będzie rokiem ustąpienia Europejczyków i Amerykanów z terytorjum chińskiego i rokiem pozostawienia Chin własnym siłom. Wydają się

one być dojrzałe do zrzucenia europejsko-amerykańsko-japońskiego jarzma. Czy po tem zrzuceniu jarzma uda się je bądź to Kantonowi, bądź to Pekinowi owładnąć i uporządkować — oto pytanie? Zachodzi obawa, aby Chiny nie popadły wówczas w jeszcze gorszy stan walk wewnętrznych, niż obecnie i nie stoczyły się ku anarchji. Na taką chwilę czyhają sowiety. Kocioł chiński jest więc w stanie wrzenia, a mało jest nadziei, aby się szybko wygotował i uspokoił. Fakt ten miałby ogromną donosłość nawet wówczas, gdybyśmy go brali jako fakt odosobniony; wszak Chiny mają 400 miljonów mieszkańców i olbrzymią rozległość terytorjalną! Cóż dopiero, jeśli uwzględnimy, że wrzenie w Chinach, mogące trwać jeszcze przez długie czasy, będzie wywoływało nieustanny, a złowrogi wpływ na cały kontynent azjatycki i afrykański.

ZEBRANIE DOROCZNE Bractwa Aniołów Stróżów na Skałce — odbędzie się dnia 20 lutego b. r. o godzinie 4.30 popołudniu w sali przy kościele Bożego Ciała. Wejście członków za biletami, które można otrzymać od O. Promotora, na Skałce, osobiście, w każdą niedzielę po nieszporach.

Za redakcję i Wydawnictwo z ramienia Katol. Związku Wyd. odpowiada Ks. Ferdynand Machay
Drukarnia Gronusia i Orłowskiego w Krakowie, ul. Stolarska 6.